Ner 34. Kraków, 26go Sierpnia. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

B e z m ó d:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie — „ 50 „ „ „
Z Modam paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

B e z m ó d:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. . a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

ZNOWU SŁÓW KILKA
O JĘZYKU OJCZYSTYM.

II.

Niech wżdy postronni narodowie znają,
Że Polacy nie gęsi, iż swój język mają.
Mikołaj Rej.

Temi słowy odezwał się niegdyś do narodu ten, który pierwszy począł używać języka ojczystego w poezyi i prozie, w czasach używaniu mowy ojczystej najmniej sprzyjających. Odezwał się bowiem wtenczas, kiedy cała Europa brzmiała rozgłosem odrodzonego klasycyzmu; kiedy w uczuciu podziwu i uwielbienia dla mistrzów starożytnych greckich i rzymskich, południowa, zachodnia i środkowa Europa aż po Dźwinę pozbyć się prawie chciała własnej swej istoty, a przedzierzgnąć w starożytne Greki i Rzymiany, naśladując we wszystkiem ów świat stary, przemieniając nawet, jakto i u nas się działo, swoje własne rodowe imiona na zgreczone lub zrzymszczone onych Acernów, Dantysków, Symonidesów, Ursynów i im podobnych. Odezwał się on praojciec literatury naszej wtenczas, kiedy według świadectwa postronnych, z naszej ojczyzny stało się drugie Lacyum, a Muzy pięknemi cyprysowemi krajami południa wzgardziwszy, do naszej zimnej przenieść się raczyły ziemi.

Niemała też musiała to być odwaga onego prostaczka, co to nieuczony, w młodości z wędką a rusznicą bąki strzelał nad brzegami Dniestru; onego samouka, co to dopiero później, potrosze jął się przegryzywać i dopytywać u drugich o to, czego sam nie wiedział; onego prostodusznego a skromnego ziemianina, co to „z granic Polski nigdzie nie jeżdżając, pasał się w ojczyznie jak na niwie zając“; niemała to musiała być odwaga, mówię, aby wystąpić przeciw powszechnemu prądowi, przeciw ówczesnej opinii, a poniekąd może i modzie; aby wystąpić jako nieznany, maluczki, przeciw ówczesnym literatom i uczonym, przeciw powszechnie uznawanym i poważanym znakomitościom, i wyrzec tak stanowczo i dobitnie, krótko i węzłowato swoje szlacheckie: Nie pozwalam!

A przecież wyrzekł je; bo w sercu jego, w umyśle jego, w duszy jego obudził się duch narodu, zawrzało poczucie się w swojej własnej przyrodzonej, od Boga użyczonej istocie, w swojej polskiej narodowości, i znalazło wyraz w słowach prostych, nieuczonych, na wzór obcy nie strojonych, rubasznych; w słowach na jakie się mógł zdobyć, własnym językiem tłomaczyć się poczynający duch polski! A Bóg pobłogosławił onego odważnego szlachcica, i dozwolił mu tej pociechy, że za życia jeszcze mógł oddać większemu od siebie rozpoczęte dzieło, dank i pierwszeństwo Muzy Słowiańskiej; że proste jego słowo wzrosło wkrótce do nieprzeczuwanej potęgi i piękności, i zabrzmiało rozlicznemi hymny; że po całej polskiej ziemi rozległy się pienia króla-proroka w języku polskim, i zanucił naród psalm odtąd aż po dziś dzień jakby pieśń narodową ciągle powtarzany, psalm: „Kto się w opiekę poda Panu swemu.“

Bóg go pobłogosławił, że zwrócił słowy swemi naród na drogę własną; że jakby rozwiązał język niemym; że jako małe źródełko dał początek potężnej, odtąd szeroko i obficie płynącej rzece literatury i oświaty narodowej.

Cóż więc jest język ojczysty, i cóż on znaczy w życiu narodu?

Rej jął pisać po polsku, by świat znał, *że Polacy nie gęsi, bo swój język mają.* A zatem: *każdy Polak, który swojego języka nie ma, a nie ma go, jeśli nim nie mówi i nie pisze, jest gęsią, a nie człowiekiem.* Rzecz jasna, że tyczy się to samo, a może jeszcze bardziej i Polek.

Cóżby to dziś powiedział, gdyby się obudził ów stary Rej z Nagłowic, i posłyszał całe stada gęsi i gęsiorów polskich szlachetnie i nieszlachetnie urodzonych gęgających nieustannie po szerokich błoniach polskich?!

Spróbowalibyśmy odpowiedzieć w jego imieniu i sposobie; albo poprosilibyśmy onego zaściankowego Maćka nad Maćkami, aby nas wyręczył. Ale Rej i Maciek Dobrzyński bywali często rubaszni i niegrzeczni; nie byli *„comme il faut“* czyli mówiąc *czystą polszczyzną paryską: „oni* nie byli *dobrze.“* Naturalnie, bo nie umieli po francusku. Więc damy im pokój i my sami zamilczeć wolimy.

Ale za to powiemy co jest język; a chociaż nie obiecujemy głosić światu prawd nowych, chociaż starą rzecz powtórzymy, to przecież czujemy się zmuszeni powtarzać one prawdy stare, bo niestety! nie wszyscy je znają i bardzo smutno, kiedy je powtarzać musimy.

Wracamy się do wniosku Rejowego. Bez języka, a mianowicie bez własnego, nie można prawie być człowiekiem; *a narodem już wcale nie.* Czyżto więc nie ważny czynnik w jestestwie naszem! *Gdzie naród przestał mówić swoim językiem, już przestał być i narodem.*

Takim więc skarbem i klejnotem jest język, ale to tylko język naszych praojców, to tylko język, z którymeśmy się urodzili, to tylko język nasz rodzinny, język nasz ojczysty. Każdy inny obcy, to jak zęby sztuczne, wprawione, które nam nie bez dotkliwego bólu wsadzono, — dziś nawet wypalają nerwy — zęby, których tylko trwożliwie używamy, aby nie wypadły i nieodsłoniły naszego kalectwa a nieraz i próżności.

Tylko nasz własny ojczysty język tkwi od urodzenia w duszy naszej, jak zasady roślin od stworzenia wolą

Bożą w łono ziemi włożone; on tylko strzela organicznie z wnętrza naszego jak kwiatek z ziarnka i zieleni się na pniu życia narodowego, kwitnie i wydaje owoce; on tylko tryska z głębin ducha naszego jak zdrój nigdy nie wysychający, gdy każdy obcy jak kwiat sztuczny, w który się stroi mizdrząca się kokietka, jak owe wodotryski, dla których sztuką napełniać potrzeba rezerwoary; on tylko rumieńcem żywym i zdrowym na twarzy naszej, a nie różem na obliczu przekwitłych wdzięków; on tylko prawdziwą wskazówką jakby termometrem uczuć i myśli każdej jedynki i całego narodu.

Myśl bowiem jako iskra wewnętrzna, a wyraz to jąk płomień. Myśli bez słowa nie masz; chociaż nie wymówione tkwi ono w skarbcu duszy jako osłonka ziareczka, które wydobyte na jaw w kwiat i owoc wystrzeli. Zbiór wyrazów czyli mowa, język narodu, to nie puste, czcze, głuche brzmienia, nie proste drgnienia powietrza obijające się o uszy nasze; ale są cząstki duszy naszej. Jeśli się więc ich lekkomyślnie pozbywamy, to pozbywamy się cząstek zasobu naszego duchowego, to sami zrywamy struny, które Bóg nawiązał na duszy naszej jak na instrumencie; a w końcu pozbywamy się samej duszy własnej, albowiem rδniąc co chwila cząstkę po cząstce, osłabiamy ją, niszczymy i sami zabijamy.

A czyśmy na to stworzeni, aby sterczeć między żywemi, zapobiegliwemi, samodzielnymi narodami jako bezduszne potwory, jak one idyoty i kretyny, na które bez litości patrzeć nie można?

Użyję porównania. Narody, to śpiewacy i muzycy, każdemu brzmi w duszy jakaś melodya, która rozpiera pierś i na wierzch się ciśnie; ale każdemu dał Bóg osobny głos i instrument. Znać Bóg Stwórca brzydził się jednostajnością a chciał mieć harmonią; chciał, by każdy śpiewał swoim tylko głosem, lub grał tylko na swym instrumencie; znać, nie chciał przedrzeźniaczy, co miasto kwilić beczą lub ryczą, uszy rażą i litość budzą; nie chciał eunuchów, co nienaturalnym pieją głosem.

I Syn Boży zostawiwszy apostołom naukę swą boską do opowiadania, zesłał im dar Ducha świętego, i nauczył ich języków, aby każdemu narodowi w jego własnym języku opowiadali słowo Boże. Nie wybrał więc Syn Boży jednego choćby najdoskonalszego i najbardziej rozwiniętego języka; nie wybrał języka narodu, który naówczas stał najwyżej pod względem nauk, umiejętności, literatury i oświaty, i miał może pretensyą cywilizowania innych; — ale chciał aby do każdego narodu i ludu jego własnym ojczystym przemawiano językiem. Bóg sam więc podniósł wszystkie języki do stopnia tej samej godności i wysokości, nadał im więc, że się po dzisiejszemu wyrażę, równe uprawnienie; a sądzę, że niepotrzeba dopiero dowodzić, że to równouprawnienie od Boga nadane jest najrzeczywistszą rzeczywistością, nie marą ale wieczną prawdą! Wykraczamy więc przeciw postanowieniom Bożym; przeinaczamy wolą jego ustanowiony porządek, odważamy się, jeśli to nędzni śmiertelnicy uskutecznić zdołamy, na spaczenie a przynajmniej na opóźnienie jego świętych ludom wytkniętych celów, jeśli nie swoim ale obcym mówimy językiem. A wszystko to z głupstwa, małpiarstwa i próżności!

Ktokolwiekbądź obcym mówi językiem, Polak n. p. francuskim, w tej chwili, kiedy mówi, przestać musi być samym sobą, a pomimowoli czuć i myśleć jak Francuz; szczególniej jeśli dobrze a nie jak żak szkolny obcym chce mówić językiem.

Fizyognomiści uczą, że wewnętrzne nasze usposobienia, mianowicie te, co częściej w duszy panują, tem silniej odbijają się na twarzy naszej i tworzą tym sposobem one niezatarte rysy, po których odczytać można charakter człowieka. Czyliż tem samem prawem wypierając często naszą własną duszę, a osadzając na jej miejscu inną obcą, kiedy obcym mówimy językiem, nie dążymy sami do tego że ta cudzoziemka dawniejszą wyruguje panią, szczególnie jeśli ciągle obcej używamy mowy?

A możnaż się potem dziwić, że takie pnie, na których innorodzajowe zaszczepiono zrazy, wydają tylko gruszki na wierzbie? Któż temu winien, jeśli stoją osamotnieni, a naród ich nie uważa za swoich? Wyparli się języka swego a naród wypiera się tych, co pogardzili jego najdroższym skarbem, najcenniejszą spuścizną po ojcach jego — językiem ojczystym!

Czyż nie dość złego i biedy, że dzieci nasze po szkołach nie naszych, uczyć się muszą w językach obcych i przytępiać niedojrzałe siły duchowe i nadwątlać słabiutkie młodziuchne swoje umysły?

Czyż jeszcze matki przyciskając dzieci obcą nauką znużone do łona macierzyńskiego, nie pokrzepią młodziutkich swych męczenników słowem z głębi duszy płynącem, co jak balsam, jak deszcz wiosenny zwilży duszę znużoną? Czyż jeszcze one ziębić mają do reszty skołataną duszyczkę polską zimnym strumieniem paplaniny zagranicznej?

Czyż więc jeszcze *i rodzina i towarzystwo*, te jedyne ogniska, przy których grzać się ciągle powinien zmęczony walką ze światem zewnętrznym duch narodowy— czyż jeszcze te jego kolebki i karmicielki mają mu zamiast ciepła dawać chłód i mróz, zamiast posilnego pokarmu jad i truciznę powoli trawiącą?

Matki polskie! rodzice i rodziny polskie! towarzystwa polskie! zastanówcie się na chwilę! Zważcież przecież! przepaść przed wami, przed dziećmi i potomkami waszemi! Czy chcecie w nią wlecieć sami i popchnąć dzieci wasze na złamanie karku?

Dokąd lecisz tłuszczo występna? zawołał niegdyś stary Rzymianin. Stójcie więc i posłuchajcie słów poety, które do was może nigdy jeszcze nie doleciały:

Płaczemy nad leżącą w ruinach budową,
Na którą w gniewie swoim dmu chnął Pan Syonu,
A z sercem rozdwojonem, z pomieszaną mową,
Chcielibyśmy podźwignąć wieżę Babilonu!

MARYA LESZCZYŃSKA,

Obrazek historyczny

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VI.

Jakeśmy rzekli, prymas wszelkiemi środkami starał się przysposobić powtórną elekcyę Stanisława; najskuteczniejszym zaś do celu prowadzącym środkiem zdawało mu się postanowienie na sejmie konwokacyjnym uchwały następującej przez wszystkich zaprzysiężonej: „1) żeby żadnego nie wybierać, tylko zrodzonego z ojca i matki Polaków, urodzonego i wychowanego w wierze katolickiej, i nie posiadającego po za granicą Rzeczypospolitej żadnego dziedzicznego państwa; 2) Aby nikt prócz prymasa nie ważył się elekta obwołać królem; 3) iżby elekcya zbrojno na koniu się odprawiła. Po-

stanowieniem pierwszego punktu wykluczony był zupełnie od kandydatury syn Augusta II, jako protestant i elektor innego państwa; czem jednakże prymas niepomógł Stanisławowi, ale owszem powstających na te punkta wywołał, z powodu że wykraczają przeciw wolności elekcyi i wykluczają syna Augusta II, który przecież jako królewicz polski już z prawa mógł się o koronę ubiegać. Tę zbytnią gorliwość prymasa szkodzącą więcej sprawie Leszczyńskiego, sparaliżowały jeszcze bardziej dwie naówczas w bieg puszczone broszury, jedna p. t.: „List pewnego posła do poufałego przyjaciela“; druga: „Fundamentalna informacya o tych sprawiedliwych przyczynach, które pobudzają cesarza imci rzymskiego, carowę jejmość rosyjską i króla imci pruskiego do utrzymania wolnej polskiej elekcyi“. Obydwie dowodziły naruszenia wolności elekcyi, i nieprawnego postępowania prymasa, — pierwsza z nich szczególnie była powodem wielu kłótni dyplomatycznych i odwoływań publicznych, co wszystko zaszkodzić musiało sprawie mianej na oku.

Gdy jednakże cesarz niemiecki, mało co zgłębiwszy plany Francyi, w zupełnem zaufaniu że obiorą elektora saskiego, wojska swoje ku granicom polskim posuwa, podobnie też gdy i moskiewskie wojska dla poparcia wspólnego kandydata do Litwy wkraczają, wtedy i Francya słowa swoje przeprowadzać zaczyna po części w czyn. Uradza więc najprzód, ażeby Stanisław wysłany potajemnie do Polski, i odziany raz już nabytą godnością królewską, stanął na czele pospolitego ruszenia, co zdawało się tem łatwiej, że Stanisław miał w kraju stosunki i przyjaciół. Ażeby zaś wspierać jego działania, minister kardynał de Fleury przeznacza znaczne sumy i korpus 15000czny mający wylądować w Gdańsku; trzymając się jednak zawsze nieśmiałej, polityki szczególnie z obawy narażenia sobie Anglii, redukuje tenże kardynał korpus 15tysięczny na 6000 żołnierzy, i to tak, żeby nie wszyscy od razu, ale tylko oddziałami wysyłani byli. Następnie chodziło o to, czy się Stanisław lądem czy morzem ma puścić. Podróż morzem miała niebezpieczeństwo floty moskiewskiej czyhającej na morzu Baltyckiem, i tę niedogodność, że wylądowawszy raz w Gdańsku, miałby jeszcze Stanisław daleką drogę do Warszawy jako miejsca elekcyi. Wybrano więc podróż lądem przez Niemcy. Że zaś wielce chodziło o to, ażeby przed dniem elekcyi nikt się nie domyślał jego podróży, ułożono więc wszystko nader tajemniczo i przebiegle. Przebrano kawalera de Thiange podobnego wzrostem i twarzą Leszczyńskiemu, który niby jako król Stanisław pożegnany salwą armatnią wyjechał do Brest. Sam zaś Leszczyński z kawalerem d'Andelot, oba przebrani jako kupcy przejechali przez Berlin i zatrzymali się w Frankfurcie nad Odrą. Tutaj oczekiwał ich już ambasador francuski hr. de Monti również za kupca przebrany, z którym szczęśliwie dostali się do samej Warszawy.

W Warszawie tymczasem w dniu elekcyjnym na polu zwanem Wolą burzliwsze jeszcze niż zwykle odbywały się sceny. Rozliczne partye, pojedyńczy magnaci mający również pretensye do osiągnięcia korony, wichrzyli z całą zapalczywością zawiedzionej pychy, z całą nieopatrznością losów przyszłych kraju. Nie zdawało się występkiem księciu Wiśniowieckiemu wprowadzić bliżej Warszawy Moskali w celu poparcia swoich widoków, ani też z pola elekcyi ustąpić, ani też księciu prymasowi rozniecać fałszywe wieści, że francuskie i szwedzkie wojska dla poparcia Stanisława pod Gdańsk przybyły, co wszystko rozdwajało umysły, odstręczało, tak iż wielu udało się za księciem Wiśniowieckim; między niemi książę Lubomirski wyrzucający poprzednio na sejmie prymasowi w oczy, iż popieraniem Leszczyńskiego sprowadził sam Moskali.

Król Stanisław w trzecim dniu dopiero po swojem przybyciu do Warszawy, ukazał się publicznie. Mógł on przybyć już jako raz obrany i koronowany król, który zrzec się swej koronacyi nie był przymuszony, i jako taki, prawa swoje na czele przychylnych starać się teraz tylko potwierdzić; — mógł mówię, i powinien, a to głównie dla tego, iż byłby tem jednem energicznem wystąpieniem zgniótł od razu tyrańską opiekę obcych dworów, srogo obrażającą prawdziwą wolność Polaka na własnej ziemi. Ale Stanisław będąc zawsze wahającym się, teraz do tego w podeszłym wieku, a potem uważając to za godniejsze, odstąpił od swego prawa, a stanął jako kandydat współubiegający się na równi z inną bracią szlachtą.

Prymas przez trzy dni zbierając głosy, przemógł nareszcie i zdołał go obwołać królem — ale Stanisław z doświadczeń przeszłości znający swych rodaków, poznał od razu że nie wszyscy tak chętnie, jak mu donoszono do Paryża, pragnęli jego panowania; — widział to i martwił się tem bardziej, gdy starania się jego w celu pozyskania sobie nieprzychylnych na niczem spełzły, a zwłaszcza gdy wkrótce protestacya przeciw jego elekcyi nastąpiła. Postanowiono, aby elekcyą siłą popierać, — ale radzcy zapomnieli, że nie było do tego przygotowanego wojska w kraju, ogłoszono Wiśniowieckiego, który się z Moskwą połączył, za pozbawionego wszelkich praw, ale nie miano mocy wszelkie podobne wyroki wykonywać. Przyszło wreszcie do tego, że Stanisław musiał uciekać nie czując się bezpiecznym w Warszawie, — obrano zaś Gdańsk za miejsce schronienia, jako miasto ludne, bogate, mające przystań morską, lecz nie przewidziano, że jako miasto handlowe, długo żadnego oblężenia wytrzymać nie jest zdolne. Stanisław przybył tam szczęśliwie, zachowując jakiś czas incognito.

Moskwa zaś i Austrya nie mające już teraz żadnych pozornych nawet skrupułów, w strachu największym, aby utrzymanie się Stanisława nie wydobyło na wierzch jasnego rozumu polskiego, któryby umiał raz wszedłszy na drogę samorządu od jakiegoś czasu zaniechaną, bronić prawdziwej złotej wolności, Moskwa i Austrya powtarzamy, nie tylko zwołały drugą konfederacyą (tak zwaną Augustowską), na której elektora saskiego królem polskim (Augusta III), obrały, którego zaraz Stanisław Hozyusz biskup poznański uroczyście obwołał, ale jeszcze naznaczyły cenę za głowę Stanisława, w ich języku *uzurpatora*. Leszczyński przyjął wiadomość o tej drugiej elekcyi dość obojętnie, wydał jednakże dwa uniwersały, jeden wzywający dodanych mu na elekcyi radzców do swego boku, drugi wzywający na pospolite ruszenie. Mało jednak uniwersały pomagały, mało zapewnienia wierności i obietnic niektórych województw, skoro większa część magnatów jak Wiśniowieccy, Radziwiłły i Lubomirski moskiewskie wojska siłami swemi powiększała, a inni całkiem obojętnie na to wszystko patrzeli. Miasto samo Gdańsk gotowało się do obrony króla, który mu się powierzył, w czem więcej jeszcze nabrało otuchy, gdy otrzymało list od króla francuskiego przyrzekający im prędką i skuteczną pomoc.

Jenerał moskiewski Lacy począł energicznie Gdańsk oblegać, równocześnie August III koronował się w Krakowie, a koronacye dopełnione jako namaszczenia na pomazańców boskich, zawsze utrwalały i przyciągały poddanych, Francya nie przysyłała posiłków, nie dziw więc, że Gdańsk począł się wahać w swojej wierności. Nareszcie z dala ukazujący się oddział z 1500 Francuzów

i szwedzki ze 100 ludzi się składający, ożywił na nowo odwagę. Rozkazy rządu francuskiego dane temu oddziałowi były stanowcze, to jest iżby jeżeli jeszcze Gdańsk nie zajęty, bronić go uporczywie, wyczekując nowych posiłków, jeżeliby zaś już się poddał, króla Stanisława koniecznie, żywo i zdrowo uprowadzić. Naczelnik oddziału pan de la Motte i p. de Plélo widzieli w małej swej liczbie oczywistą zgubę, lecz widzieli potrzebę poświęcenia się dla ratowania Stanisława i dla honoru Francyi. Tymczasem nowy dowódzca moskiewski feldmarszałek Munich z 40000ma żołnierzy opasuje miasto, zdobywa najgłówniejsze szańce, tak że Francuzom nie pozostaje nic, jak tylko pośród gradu kul i kartaczy pod Gdańsk podpłynąć. Podpływają więc nieustraszenie, i tam znajduje zaszczytną śmierć p. de Plelo. Flota powraca oczekując w Kopenhadze nowych posiłków, skąpy kardynał de Fleury znów przysyła 2000 tylko, — lecz mała ta garstka ryzykuje się znów poświęcić dla ratunku Stanisława i jego oblężonych przyjaciół. Pod ogniem przeto kartaczowym i z rozwiniętemi żaglami płynie pod mury Gdańska, gdzie tysiącami okrzyków przyjęta, utrwala na nowo postanowienie bronienia się do ostatniej kropli krwi.

Daremne jednak wszystkie usiłowania! Oblęgających wojska ciągle się zwiększały, a oblężeni długo czekać musieli nim nadeszły posiłki zwykle liche i nic nie znaczące. Król Stanisław, któremu miasto przez deputacye dawało do zrozumienia, ile mu krzywdy robi swoją obecnością, rezygnował się znów w ucieczce szukać ocalenia, — dostał się wreszcie do Królewca, zkąd obszerny list opisujący całą wyprawę, dworowi francuskiemu posłał, w którym się wyraźnie uskarżał, że szczupłość posiłków dlań przysłanych była główną przyczyną jego upadku. Miasto zaś Gdańsk kapitulacyą swoją okupić musiało znacznemi summami feldmarszałkowi Munich, wściekłemu ze złości, iż mu się nieudało schwytać Leszczyńskiego, aż wreszcie przywrócone do łaski monarszej, przysięgło w Oliwie na wierność bawiącemu tam Augustowi IIIciemu.

Stanisław przybywszy do Królewca nie rozpaczał, nie wyrzekał Bogu, owszem w ucieczce swej pełnej groźnych niebezpieczeństw, widział oczywisty palec Boży nad nim czuwający, szczęśliwy będąc poniekąd, że go po nocy nie budził płacz i lament oblężonego ludu Gdańska — lecz my powtarzamy zapisaną gdzieś z początku naszą uwagę, iżby był lepiej uczynił, nieczując w sobie żelaznego powołania, a do tego teraz zaszedłszy w lata, iżby na nowo tylu ludzi nie poświęcał, a przynajmniej aby gdy znowu praw swoich postanowił orężem bronić, iżby ich bronił z całem zrozumieniem przyszłych nieszczęść, które spaść musiały z obioru Sasa, protegowanego przez Austryę i Moskwę.

W dalszym przebiegu, ponieważ zakres naszej monografii ograniczyć musimy, pokrótce tylko skreślimy dalsze koleje życia Stanisława, wracając do córki jego Maryi, z niespokojnością patrzącej na poniewierającą się głowę starego ojca.

(C. d. n.)

KRAKOWIAKI.

I.

Krakowiaki tobie zaśpiewam dziewczyno,
Krakowiaki proste, ale z serca płyną.

—

Jeno mi się niedziw, że i w śród zabawy
Nuta będzie smutna i krakowiak łzawy.

—

Bo gdzie ja się rodził trzy mogiły stoją,
I posępne dumy wiały w duszę moją.

—

I krzyżami smutku znaczyły mi drogę,
Więc się niedziw dziewcze, że się śmiać niemogę.

II.

Znałem ja w Krakowie jedno dziewcze szwarne,
Śmigłą jak habinka — oczka miała czarne.

Ale nie kochała mojego Krakowa,
Więcem jej zaśpiewał: bywajże mi zdrowa!

Bo jabym chciał takiej, coby jej na twarzy
Wyczytał człek jasno, że o kraju marzy.

A gdy ziemia smutna, kiedy krwawe dzieje,
Niech i dziewcze moje smutkiem pociemnieje.

Niech się w łzy ubierze i żałobę nosi,
I niech Pana Boga za swą ziemię prosi.

Niech gorącem słowem bohaterów rodzi —
I niech budzi śpiących, jeśli usną młodzi.

A jeżeli stchórzą — spodlą się niepięknie,
Niech im wzgardą plunie, choć jej serce pęknie.

Zacne panie matki, takich córek wiele,
A będzie nad Wisłą wesele — wesele.

Wtedy krakowiaka wytnę, wytnę sobie,
Że aż się umarli rozradują w grobie.

III.

Siwy konik w bramie podkową kołacze,
Mam iść na wojenkę, a serce mi płacze.

A serce mi płacze o ciebie niebogę,
Bo ja żyć bez ciebie nie mogę — niemogę.

Grajcież skrzypiciele do woli, do woli,
Niesmuć się dziewczyno, bo mnie serce boli.

Odwróć się odemnie z oczyma oboma,
Bo mi serce zmięknie i zostanę doma.

A kiedybym został — to by mnie zabiło,
Że się inni bili, a mnie tam nie było.

Więc mi dziewczę próżno nie rozdzieraj duszę —
Bo ja na wojenkę iść muszę, iść muszę.

Jeno mnie przeżegnaj paciorkiem i łzami,
I zachęty słowa rzuć dziewcze za nami.

Da Pan Bóg niezginę — da Pan Bóg powrócę,
A wtedy ci inną piosenkę zanucę.

I będzie nam wtedy wesoło — wesoło...
Hejże ha, dziewczyno, chodźwa jeszcze w koło.

M. B.

PORTRETY,

przez

NIE-VAN-DYKA.

(Lwów, nakład Karola Wilda 1861 roku).

(Dokończenie).

Rozdział pod tytułem „Piękne panie i panienki“ rozbierał już w naszem piśmie p. Bonifacy, i podobał mu się bardzo Nie-Van-Dyk, bo zachwalał go bardzo niewiastom naszym. Odsyłając przeto szanowne czytelniczki do Nru 3go *Niewiasty* z r. 1860, przystępujemy do zakończenia naszego przeglądu Portretów.

Pozbywszy się wielu wad i słabostek, których ostrym sędzią i lekarzem jest Nie-Van-Dyk w portretach, przyznać także musimy, żeśmy się pozbyli i owej niegodziwej podróżomanii, na którą autor powstaje w rozdziale „Kobieta Obieżyświat“. Wprawdzie choroba ta, będąca wcale niekorzystną cechą naszego narodowego charakteru, nie została jeszcze kompletnie wyleczoną, jest atoli już dzisiaj o wiele mniejszą, i mniej grzeszniczek za sobą pociąga. Bóg by dał, abyśmy się jej zupełnie pozbyli, i aby ten wyraz „podróżomania“ wykreślony został z polskiej mowy słownika.

Kobieta powinna siedzieć w domu, być stróżem domowego ogniska, aniołem przyszłego pokolenia, powinna być po śmierci jeszcze świętością, błogosławiącą głowy swych ukochanych; a kobieta obieżyświat nie zna innego ogniska prócz kasy kolei żelaznych, gdzie się skupiają ludzie bez domu i przyszłości, ludzie pędzący jak *perpetuum mobile* bez celu i odpoczynku. (str. 168).

Całą nie mal przyczynę tej namiętności, która nasze rodaczki wypędzała niegdyś tłumami za granicę, przypisuje Nie-Van-Dyk złemu wychowaniu lub też brakowi takowego zupełnemu. I zapewne słusznie to robi. W kobiecie przeważającem jest serce i uczucie. Najmniejsza zaś wada serca wyradza w niem namiętność. Błędy serca tylko złemu wychowaniu przypisują wszyscy. Że zaś dzisiaj na tę stronę życia, to jest na wychowanie więcej daleko zwracać poczęto uwagi, że to wychowanie staje się z dnia na dzień pełniejszem grozy moralnej i uczucia narodowego — sądzimy przeto, iż braknie nam wkrótce kobiety pod nazwą obieżyświat— a portret jej przez Nie-Van-Dyka, stanie się zabytkiem przeszłości — prawdą w sobie zawartą politowanie obudzającym.

W ostatnim nareszcie Portrecie rozbiera autor dwie generacye oddawna na dwóch odmiennych biegunach społeczeńskiej równowagi zostające. Chodzi tu *o młodych* i *o starych* wzajemnie się krytykujących, w sprawach publicznych mianowicie.

W ustępie tym piękną autor podaje radę nowej generacyi pisarzy. Mówi on: Chciałbym aby pamiętali, że ich wystąpienie powinno w sobie mieć wszelką *siłę* zaczerpniętą z przeszłości, kierowaną *rozumem*, z niej zaczerpniętym.

Na tem polega prawdziwy postęp i dojrzewanie narodu.

Bezsilny i upadający na duchu, choćby z najbogatszym rozumem, nie może przeto pracować korzystnie na drodze postępu i dojrzewania narodu.

Siła zaś sama źle, bo *nierozumnie* kierowana, nie przyda się także na nic.

Portrety Nie-Van-Dyka kończą się nareszcie rozbiorem ważnych bardzo i na czasie będących kwestyj. Kwestyami temi są: Jedność i stronnictwa, kwestya ludu wiejskiego i kwestya żydów. Mówiąc o jedności podaje on za jej maksymę następującą prawdę: *że drogą najprostszą do jedności, jest miłość ku braciom, porozumienie się, podjęcie i roztrząśnienie łagodne i toleranckie każdej myśli, uwzględnienie każdego dążenia uczciwego, bo taka tylko droga nie obraża idei naszej narodowej, idei wolności.*

W kwestyi ludowej, której tu treści podawać nie będziemy, wyjmując najświętszą a ogólnie przez autora rzuconą prawdę że z ludem z obowiązku obcować trzeba, dodajemy z naszej strony odezwę do szanownych czytelniczek naszych, przemawiając do ich serca, aby swem obcowaniem dopomogły tej sprawie ludowej. Zaprawdę, wy szanowne rodaczki najwięcej w tym dopomódz możecie. Wy macie najlepszy środek zobowiązania ludzi ku sobie wdzięcznością za waszą dobroć, za wasze serce, za wasze współczucie nad jego niedolą, nieszczęściem, klęską jaką — chorobą. Autor poezyi „lekarka wiejska“ umieszczonej w naszej *Niewieście*, pan A. K. wyraził także tę piękną myśl o wielkim wpływie pań naszych na biedny ludek nasz wiejski. Jemu bardzo potrzeba waszego serca — bo jego serce wyziębłe nie ma się czem ogrzać do miłości. Wy go szacowne rodaczki przyciągnijcie ku sobie: wy go rozgrzyjcie, a nagrodę znajdziecie dla siebie w szczęściu drogiego wam kraju. Bo wy, obudzając miłość w sercu ludu — obudzicie w nim najdroższe uczucie, które go uzacni, podniesie — i do potrzebnej, braterskiej jedności nakłoni.

Kwestya żydów zakończa całą tę drogocenną pracę. Nie możemy powiedzieć, aby ta ważna i tak sprzecznie od wielu pojmowana i przedstawiana kwestya — rozstrzygniętą była w kilkudziesięciu wierszach Nie-Van-Dyka — jako też nie możemy powiedzieć i tego, żeby każda z dotkniętych tu kwestyj jednakowo, to jest wyczerpująco była opracowaną. W wielu miejscach pięknej tej książki spotykamy się z pośpiechem, może za wielkim na ten spokój głębokiego poglądu w życie, z jakim autor gdzie indziej rzecz przeprowadza. Dobrze się bardzo z tego i dowcipnie autor w przedmowie swej do dodatkowych kwestyj tłomaczy, że „dzisiaj tacy wszyscy ruchawi, że nikt nie chce usiedzieć do malowania“ — że więc dla tego temu lub owemu portretowi, głębszego brakować może cienia. Maleńki ten jednakże zarzut, który tu robimy, pochodzi może nawet z tego, iż wczytani i zamiłowani w całości doskonałej Portretów — po ich skończeniu, pragnęliśmy jeszcze więcej, chcieliśmy jeszcze dłużej rozmawiać z autorem — i dla tego zdawało się nam tego za mało.

Mówiąc nakoniec ogółowo o wartości tej książki, przyznać jej autorowi musimy, że posiada dokładną znajomość stosunków i organizacyi naszego społeczeństwa. Zna on wszystkie ujemne i słabe strony ducha narodu — i umie zręcznie a wymownie godzić w nie, odsłaniając je jawnie tym, którzy ich nie znali w sobie. Społeczeństwa naszego stan, o którym spomnieliśmy już pokrótce na początku niniejszego przeglądu, chorobliwością i wadliwością swoją nastręczył Nie-Van-Dykowi dość obszernego przedmiotu do portretowania; dodać jednakże musim, iż niektóre śmieszne ułomności nasze od owej chwili, w której autor je dostrzegł jeszcze —

już dotychczas usuniętemi zostały. Chwała Bogu! Okoliczność ta nietylko nie ujmuje ważności „Portretów“ — ale dodając im zabytkowej ceny, nas wszystkich o dobro i zdrowie ogółu troszczących się, radością serdeczną przepełnia.

Nie można także pominąć przy przeglądzie Portretów Nie-Van-Dyka wartości ich — literackiej. Jako utwór obrazowy, stoją one niezawodnie wyżej od powieści, najwyższą tendencyą naszpikowanej. W czasie nawet dzisiejszym, gdy przesyt powieściowy obudził już pewien niesmak do tego rodzaju utworów, „Portrety“ zastąpić mogą miejsce powieści i romansów. Niema w nich wprawdzie zawikłanej i obałamucającej intrygi— nie ma tej gmatwaniny romantycznych frazesów i dyalogu — jest jednak najistotniejszy warunek dobrego powieściopisarza, bo jest gruntowna znajomość życia — są typy i charaktery portretowane. Jeżeli więc kto chce czytać książkę dla tego, aby z niej poznał prawdę społeczeńskiego rozwoju — i nieugania się za czczem — nudów czas skracającem tylko—matactwem i krętactwem niepodobnem często do prawdy — temu z całego serca „Portrety“ Nie-Van-Dyka polecić mamy obowiązek.

⊙

CIOCIA TEKLA.

Szkic współczesny

przez

W. B. K.

(Dalszy ciąg).

I usiadła powtórnie aby skończyć list zaczęty, napisawszy zapieczętowała, — potem kilka słów nakreśliła na drugiej ćwiartce i włożywszy w dużą kopertę zaadresowała do Józefa Liskiego, i zadzwoniła.

Przybiegła młoda hoża wiejska dziewczynka.

— Masz tu list Anusiu, pójdziesz z nim do ekonoma i będziesz prosiła, żeby umyślnym posłańcem odesłał go dzisiaj jeszcze do Łozin.

Anusia wzięła list do ręki, ale kręcąc fartuszkiem nieodeszła.

— Czego chcesz jeszcze moje dziecko?

— Proszę pani Marta przyszła, i czeka już chwilę, czy ją wpuścić?

— Wpuść ją zaraz.

Za chwilę weszła do pokoju Tekli Marta, młoda kobieta ale chorowitej cery, blada, zmizerniała, smutna i ubogo ubrana.

— Jakże się ma Jędrzej? — spytała Tekla.

— Jednako proszę JPani, wprawdzie mu to lekarstwo trochę pomogło i usnął... oj biedny!... biedny tatuś, a Wickowa mi mówiła, że on już z tego niewyjdzie, oj dolaż moja biedna dola! — i zapłakała rzewnie kobieta.

— Niepłaczcie moja Marto, — pocieszając ją rzekła Tekla — wszystko na świecie w rękach Boga, Jędrzej wprawdzie mocno słaby, lecz jeszcze wyzdrowieć może, tylko trzeba się pilnie trzymać przepisów doktora.

— Przyszłam też prosić JPanią o ten przepis, co doktor zostawił, bo już lekarstwo wyszło, to bym go dała do miasta, bo wójt ze wsi idzie.

Tekla wzięła ze stolika receptę, poszła do biórka, wyjęła kilka cwancygierów i włożyła w środek.

— Macie moja Marto, a miejcie nadzieję w Bogu, on was nieopuści i wasz ojciec wyzdrowieje.

Marta wzięła papier, ale niespodziewając się pieniędzy wzięła lekko, tak że wysunęło się srebro z zawinięcia i potoczyło po pokoju.

— A to co? — spytała zmieszana Marta.

— Dałam wam na lekarstwo, bo wiem, że bieda u was — skromnie odrzekła Tekla.

Marta wpatrzyła się z początku niedowierzającem okiem w Teklę, potem łzy się jej jak groch duże potoczyły po twarzy, i upadła do nóg Tekli, i zaczęła ją po rękach całować.

— O niech Bóg wam JPani stokrotnie odpłaci.

— Wstańcie dobra Marto, to by każda na mojem miejscu zrobiła, będę miała dość nadgrody, gdy wasz ojciec wyzdrowieje.

Marta pozbierała z ziemi pieniądze, jednakże widocznie była zakłopotaną, przystąpiła więc do Tekli pocałowała ją w rękę i rzekła nieśmiało:

— Nie chciałam ja mówić dzisiaj rano przy panience aby nietrwożyć... ale różne wieści po wsi chodzą.

— Co takiego? — spytała Tekla i przystąpiła do Marty.

— Przyszłam ja i dla tego, żeby JPani powiedzieć, bo to ludzie rozmaicie se pomiędzy sobą teraz szepcą.

— Mów co?...

— Otóż wczoraj wieczorem jakem szła do potoku po wodę stało kilku gospodarzy ze wsi i stał pomiędzy niemi jakiś chłop nieznany, i różnie im mówił, nie zrozumiałam ci ja to prawda wszystkiego, ale mówił żeby urzędu niesłuchać, i żeby się wszyscy chłopi wzięli z panami razem i żeby Polska była nazad...

Tekla z niespokojną ciekawością słuchała mowy kobiety.

— Cóż kiedy go widać i inni niepojęli, bo tylko się go wypytywali o pańszczyznę kiedy ustanie, a chłop im ceć jako rozpowiadał, a tak pięknie mówił jak by ksiądz z ambony... ej! JPani to nie musiał być chłop, bo miał ręce takie białe..., zauważali to na niego, i jak mi to szwagier mówił, kiej się zeszli potem do karczmy, to se powtarzali wszystko, i uradzili że to nie musi być wieśniak ino pan przebrany, a Stach urlopnik to im radził, żeby go powiązać i odstawić do urzędu.

— No i cóż?!... — z bijącem sercem spytała Tekla.

— Kiedy go już nie było we wsi, i nikt nie wiedział gdzie się podział.

V.

Trzy mile od Podgórny, więcej ku Wiśle, na takiej równinie po której by jajko można potoczyć, leży mała wieś Łoziny, należąca do Józefa Liskiego. Chociaż mała wioska, ale widać zamożna, bo chaty obszerne i porządne, i przed każdą stodoła, i sad z wiszni i jabłoni. Droga wiodąca do Łozin, była jedną z tych dróg naszych, na której każdy most dziurawy, a wyboje po deszczu czynią ją nieprzebytą. Kiedy się wioskę przejechało całą, dopiero na boku odsłaniał się szlachecki dworek, osiadły od wieków w kole lip rówienniczek, które splecionemi konarami, szeptały jeszcze po całych dniach jakąś pieśń zaklętą. Przed dworkiem trawnik wycięty w koło, pośrodku niego stary dąb rozpadnięty w dwie olbrzymie odnogi, na których gniazdo bocianie, ten nieodstępny towarzysz polskich zagród naszych. Zabudowania gospodarcze schludne i porządnie utrzymane, skryły się zupełnie po za ogrodem, do koła dworek otaczającym. A stary był to dworek modrzewiowy, o tradycyonalnym ganku i dachu śpiczastym, i o wąskich oknach z grubemi dębowemi okiennicami. I wewnętrzne urządzenie dworku staroświeckie jeszcze, przypominało ubie-

głe niepowrotnie lata!... i te krzesła pokryte drelichowem płócienkiem, i te stoły z wąskiego drzewa, i ta szafa szklanna, w której dawne stoją dzbany i puhary cynowe olbrzymie, zgoła wszystko tchnęło czasami jeszcze Sasów... prócz jednego pokoju na rogu domu, w którym już nowożytna odbiła się epoka, w którym już meble wygodne i gustowne, już obicia po ścianach i sztychy w złoconych ramach, w którym książek najnowszych po stołach zastawiono dużo.

W tym dworku mieszkał Józef Liski z swym ojcem, ciemnym od lat kilku. Stary Liski ongi przeżył wiele w życiu, odbył wszystkie napoleońskie kampanie, i sterany męzkiem wojskowem życiem, ożeniwszy się osiadł na wsi. Po roku wspólnego pożycia, umarła mu żona, darząc go synem, na którego stary Napoleonista przelał wszystkę miłość swoję. Bo żwawy to był i dorodny chłopiec od lat najmłodszych, obdarzony duszą wrażliwą i marzącą, dziecięcem szczebiotaniem umilał staremu sieroce lata. Oddany do szkół w Krakowie szybkie i odznaczające się robił postępy, był zawsze jednym z pierwszych uczniów. Jak wielu z nas młodych przechodził on i lata natchnień poetycznych, w których po całych nocach pisywał sonety, ballady, hymny etc., w których księżyc, groby, cisza, kwiaty wiązał rymami, jakie się zdarzyły. Jest to u nas szczególne zjawisko, iż wielu rozpoczynając ten trudny zawód co się zwie życiem, rozpoczyna go z poetycką egzaltacyą, rozpoczyna go wierszami!... wytłómaczyć to łatwo. W życiu naszem pogrobowem jest tyle wyższego nieziemskiego objawu, jest tyle tęsknoty i smutku rozlanego wszędzie!... tyle intuicznej siły, duch nasz jest tak do wyższych sfer podniesiony, że ktokolwiek czystą piersią napije się powietrza krwią i łzami nasyconego! staje się mimo woli, mimo wiedzy, wyższem przejęty życiem — nabiera wyższych uczuć w siebie, i w tym względzie przynajmniej cierpieniem swojem wkrada się w mistyczną krainę poezyi. Niech nas nikt nieposądza o schlebianie kierunkowi takiemu, ależ tak jest rzeczywiście i niedarmo z gorzką ironią powiedział Juliusz: „że u nas poeci rodzą się jak grzyby“, wynikiem to jest naszego położenia na ziemi... wynikiem tego grobowego smutku, który młodą wrażliwą duszę, unosi, porywa w zaziemską krainę!... I Józef więc od lat najmłodszych wdzierał się marzeniem młodocianej duszy w te niedoścignięte sfery, i tem nadgradzał przynajmniej sobie, za tę boleść, którą czuć musiał, patrząc się na straszne rzeczywiste życie nasze...

Ależ oprócz wyższych narodowych cierpień, które po części wpływają na ten poetyczny zrazu kierunek, jest zawsze powód jeszcze inny drugi, powiedziałbym ogólny, który wszędzie i na każdej części świata młodych, do marzeń napędza — powód sercowy!... Tak jest... to wy szanowne, piękne czytelniczki moje jesteście tym niewinnym powodem, iż nieraz zamiast uczyć się Tacyta albo Herodota, myślami człek błąka się po kwiatach i łąkach i przypadkiem zabiegnie do zacnego ustronia, kędy po raz pierwszy sympatyczne usłyszał słówko... kędy zobaczył modre lub czarne oczęta, kędy w jednem słowie połowę swego serca zostawił; to wasza wina, że nieraz miasto zawikłanych matematycznych zadań, składają się na wzór Petrarki sonety, w których miłość i urojone cierpienie rymują się nawzajem; to wyście tym niewinnym powodem, iż nieraz noce całe młody człowiek przeduma patrząc się w pogodne oblicze księżyca, który z dziwną i bezprzykładną cierpliwością, od stworzenia świata jako najwierniejszy powiernik wszystkich głów zakochanych, z angielską flegmą słucha improwizowanych miłosnych śpiewów, z których on jeden tylko na świecie co się nie śmieje i bierze je za dobrą monetę... Otóż Józef czas długi był w tem wierszowem stadium, napełniając kompozycyami studencką tekę... pisał i pisał... a że wtedy jeszcze niewychodziło tyle pism peryodycznych co obecnie, więc niedrukował, co zdaje mi się zupełnie jest małą szkodą dla literatury naszej. Szczególniej po pobycie na wakacyach w Łozinach, natchnienie wystarczało na czas długi bardzo. Zapewne że weny poetycznej nie mogły wzbudzić monotonne równiny Wisłoki, ani gwar wiejskiego gospodarstwa, było coś innego... coś bardziej idealnego i piękniejszego. Tym zaś ukrytym talizmanem, była Jadwisia. Jeszcze stary Liski wiele był usług oddał matce Leona i Tekli, i syn też mile był u nich widzianym.... Kiedy Józef bawił w Łozinach, i ciemnemu ojcu czytywał po dniach całych książki, stary chcąc rozerwać syna kazał mu odwiedzać sąsiedztwa. Najmilej jednak Józefowi było jechać do Podgórny... nęciły go tam te oczęta niebieskie, tak piękne jak to niebo nad głowami, nęcił ten uśmiech swobody i wesela, ten dźwięczny głosik, który mu długo, długo w duszy dzwonił potem.... I chociaż dzieckiem był jeszcze, nie wiedząc może o tem; serce jego zawięzywało jeden z tych świętych węzłów na ziemi, który świat potargać może.... lecz rozerwać nigdy.

Trwało to nieme a głębokie uczucie od dawna w piersi Józefa. Jak każdy młody, z początkiem poił się tym urokiem tajemnicy która je osłaniała, i skryte westchnienia nadzwyczaj cierpliwemu powierzał papierowi... tajemnica ta miała z początku swój urok, lecz z czasem, z czasem jakaś trwoga i niepewność spać mu niedawały, jakieś dziwne marzenia przelatywały po nad głową, i wiersze zaczęły przybierać kolor coraz posępniejszy i gwałtowniejszy zarazem. Szczególniej gdy wypadało odjeżdżać do akademii, wtedy jakieś zamiary unosiły go niespokojnie, jakieś postanowienia przybierał stałe, nieodmienne, które jednak rozwiewały się prędko jak mgła wiosenna przed słońcem... nieraz po zapisaniu całego arkusza sonetami, siadał na bryczkę i pędził do Podgórny, lecz im był bliżej, tem zwalniał bieg rączych koni, i zajechawszy przed pałac, nieśmiały, zmękany, zapominał zupełnie co go w to miejsce przywiodło.... i wracał do domu zły na siebie!, smutny, aby wkrótce z równym zapałem odbyć powtórnie tę drogę... W Podgórny lubili go wszyscy, bo umiał dowcipem i grzecznością zyskać łaskę hrabiny, znajomością włoskich arcydzieł i botaniki przyjaźń hrabiego. Pani Guerlin lubiła go dla wesołego humoru, i psot niewinnych, które jej zawsze broił. Tekla miała serdeczne przywiązanie, szanowała w nim jego poświęcenie i miłość dla ojca, jego charakter prawy i poczciwe serce... a Jadwisia?!... otóż to był zaklęty hieroglif, którego biedny Józef odczytać nie mógł... Jadwisia lubiła się z nim bawić, była tak wesołą kiedy był przy niej, lubiła słuchać kiedy z zapałem czytał dzieło jakie... ale oprócz tego Józef nic nie mógł wybadać więcej.... wprawdzie nieśmiał się pytać nigdy, więc w tym celu po długim namyśle inną obrał drogę.

Było to przed trzema laty. Józef odjeżdżał na ostatni rok akademii; po wesołym pobycie na wsi, i po częstych odwiedzinach w Podgórny, przyszła bolesna chwila rozstania, która była tem boleśniejszą, iż Józef na ten rok ostatni wyjeżdżał do Berlina. Odkładał też biedny jak mógł tę śmiertelną chwilę, lecz kiedy już na końcu nadejść musiała, a mimo postanowień niezdobył się przecież na stanowcze słowo, udał się po ratunek do poezyi. W tym celu obiecał kilku dniami wprzódy posłać jakąś nową książkę, a sam tymczasem niespiąc nocy kilka, napisał czułych, gorących, tkliwych kilka-

naście wierszy, w których odjąwszy nieszczęśliwą formę, rzeczywiście prawdziwe i głębokie kryło się uczucie, uczucie jakiem płoniło jego młode serce; wiersze te przepisał na welinowym papierze, włożył między kartki książki i odesłał do Podgórny.

Dnia trzeciego z bijącem sercem wsiadł na bryczkę, jadąc z pożegnaniem, i słodko dumał nad wpływem jaki wywrą na Jadwisię, jak będzie miał powód zaczęcia tkliwej, a dla niego upragnionej rozmowy... biło mu gwałtownie serce, i niespostrzegł się jak stanął przed gankiem pałacu... hrabstwa nie było w domu, wysiadł... ale zastał wszystkich w równem usposobieniu jak zawsze, Jadwisia przywitała go z pewną grzecznością i swobodą, i niespiekła najmniejszego raka... zdekoncertowało to jakoś Józefa, lecz nie tracił nadziei, przy sposobnej chwili spytał Jadwisię o książkę... Jadwisia oddała ją z podziękowaniem, unosząc się nad jej treścią... biedny Józef stał na szpilkach, niewiedział co począć z sobą, niepewny czy Jadwisia wiersze czytała czy nie... po długim namyśle odważył się zapytać w końcu czy między kartkami książki nie było przypadkiem wierszy, które przepisując przez nieostrożność zostawił... Jadwisia chciała odpowiedzieć, gdy do pokoju weszła pani Guerlin i rozmowa inny przybrała kierunek, bladł i czerwieniał się Józef z niespokojności i po części i gniewu. A że wieczór nadchodził i musiał do Łozin wracać, straciwszy więc nadzieję dowiedzenia się czegoś więcej, z smutkiem prawdziwym pożegnał się ze wszystkimi. Gdy już wychodził, Tekla zatrzymała go u drzwi, prosząc żeby z nią słów kilka pomówił... Kiedy się znaleźli sami, Tekla wyjęła papier który z drżeniem poznał Józef.... były to owe tkliwe wiersze...

— To pan pisał panie Józefie — rzekła mu poważnym głosem, kładąc rękę na ramieniu młodego poety. Józef spuścił oczy i zczerwieniał się mocno!

— Panie Józefie — ciągnęła Tekla dalej — cenię pana i szanuję, jesteś dobrym synem, masz serce szlachetne i prawe, z przyjemnością widzę iż nie marnujesz czasu i kształcisz się usilnie, dla tego przykro mi, iż zrobiłeś pan krok, nad którym niezastanowiłeś się zapewne, a który niezgadza się z szlachetnością pańską...

— Ale... nierozumiem !... — nieśmiało wymówił Józef.

— Przekonaną jestem iż się pan niazastanowił nad lekkomyślnością postępowania swojego, pisząc te wiersze niesądziłeś pan, iż popełniasz czyn, który dla niego może być młodzieńczą rozrywką, a który może się stać przyczyną cierpień dla kogoś drugiego.

Józef podniósł żywo głowę do góry, twarz nabrała wyrazu powagi i szlachetności, a w oczach duża łza zabłysła...

— Com napisał to czuję mocno i prawdziwie...

W oczach Tekli przebiegł blask radości i wzruszenia.

— Choć by nawet tak było, to nietłómaczy pana zupełnie... Jadwisia dziecko jeszcze, a pan kończysz zaledwie szkoły... czy godzi się przedwcześnie dziecię wprowadzać w świat uczuć nie znany.... nie panie Józefie, nie tą drogą postępować pan powinieneś... Pan sam niewiesz mocy i doniosłości tych uczuć, a igrasz pan niemi...

Józef powtórnie schylił głowę na piersi, i wyraz prawdziwej boleści wyrył się w jego twarzy...

— I pytam się pana co go spowodowało do przesłania tych wierszy? czy żeby objawić swe uczucia..... Panie Józefie, prawdziwe uczucie nie w pięknych słów układzie się mieści... a zresztą wejdź pan tylko w siebie, jak niczem nie możesz dać dowodu jeszcze tego uczucia którem pierś twoja oddycha? Czyż polot młodzieńczej fantazyi jest już jakąkolwiek rękojmią? Czyż nie czujesz pan w sobie żadnych głębszych myśli!...

-- Bóg widzi jeden.

— Nie... niedość na tem — przerwała mu Tekla — kiedy serce zabije goręcej, trzeba jeszcze stać się godnym tych uczuć... ażeby się ośmielić objawić te uczucia swoje, trzeba być przekonanym wewnętrznie, iż się zasłużyło na nadzieję nawet...

(C. d. n.).

KRONIKA.

(WD.) Ludzkość cała dąży do wydoskonalenia i uszczęśliwienia, a drogą chrześciaństwa do zbawienia; jedną drogą taką jest modlitwa: skarb najdroższy, klucz do wszelkiej szczęśliwości, bo według Pawła śgo: „Wszelki, którybykolwiek wzywał imienia pańskiego, zbawion będzie.“

A modlimy się nie od dzisiaj. W kościele starego zakonu był zwyczaj wiekami uświęcony modlitwy rannej, w południe i wieczór. Już na 1000 lat przed Chrystusem zachowywał Dawid zwyczaj ten wśród blasku królewskiego, a Daniel wśród babilońskiej niewoli. Pierwsi chrześcianie uważali ten zwyczaj za prawidło swojego życia wśród prześladowań krwawych. Rano, w południe i wieczór przypomina kościół głosem dzwonu modlitw porę; — poleca przytem wspólną modlitwę; a od dawnych już czasów pobożni mieszkańcy miasta naszego zgromadzali się i zgromadzają na takową, to w kościołach na modlitwę poranną i południową, to na wieczorną przed wizerunkami Boga i świętych.

Modlimy się nie dla zwyczaju, ale dla tego, że modlitwą osiągamy to, o co Boga prosimy; wszak Abraham wyjednał sobie modlitwą, że mu Bóg obiecał nie zatracić miasta, jeśliby co było w niem sprawiedliwych. Modlimy się dla tego, że przez *wytrwałość* w modlitwie *zaprawiamy się w cnocie;* modlimy się, bo modlitwa jest „ścianą wiary“ jak powiada Tertulian, a tę walili tylko poganie i barbarzyńcy. „Modlitwa jest nerwem chrześciańskiego życia, a człowiek modlący się jest człowiekiem pragnienia — dążenia.“

Dla tego modlą się mieszkańcy Krakowa w dniach obchodu religijnego i narodowego, modlą się peryodami kalendarza naszego katolickiego w Bramie Floryańskiej przed wizerunkiem Matki Boskiej, na ulicy Szpitalnej przed obrazem Najśw. Panny, przy Jej kościele w rynku, na Piasku i przy Kapucynach pod Jej figurą, modlą się także przy kościele Franciszkanów.

Od dawna było to u nas zwyczajem religijnym: odbywano procesye i pielgrzymki pod figury i wizerunki świętych, modlono się przed niemi i do nich, i śpiewano pieśni nabożne. Tam dziękowali Bogu za wszelkie chwile doli i niedoli, tam prosili, Go o krzepienie odwagi i wytrwałości błagali o lepszą przyszłość. Cel modlitwy został i teraz ten sam. U stóp obrazu, z modlitwą lub pieśnią w sercu i na ustach, zapominamy bolów naszych i nieszczęść, znajdujemy pociechy i spokój, śpiewając: „Chwała Panu w Niebiesiech! broń ziemskich gwałtów niech drzymie u progu mieszkań Jego“, i modlimy się aby „zatrąbił szósty i siódmy anioł“ według objawienia Jana śgo:

Więc cel ten modlitwy jest uświęcony przez boskie prawo, bo modlimy się o to serdecznie, a nic nie zawiera zdrożnego z prawem ludzkiem, bo każde nasze wieczorne nabożeństwo rozpoczynamy od słów: „Boże Wszechmocny i Miłosierny! otośmy się zebrali tutaj, aby wspólna modlitwa zjednała nam łaskę Twoją i pokrzepiła siły ducha naszego, daj wytrwałość pracującym! Wskrześ moralnych Łazarzów naszych! Zapał młodzieńców wzmocnij poświęceniem i męztwem Gedeonowem!“

Piszę o modlitwie i pieśniach nabożnych które w każdem zdarzeniu i chwili wydobywają się nam z głębi na usta. Dlatego to dusze nasze w strapieniu przypominają sobie rocznice święte przeszłości, tęsknią i pragną, i biegną przed obraz z psalmem i nadzieją.

Sprostowanie:

W Nrze 33 naszego pisma w *Wiadomości literackiej* zakradły się pomyłki, które poprawić prosimy.

Zamiast: *Ocenn i krytyks rzeczywistą* winno być: *Ocenę i krytykę należytą.*

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.